

I. 547. 763

MARJA WERYHO

Różne przygody

POWIASTKI DLA DZIECI



KOPIJA
JAE. RZADU
PROZANY

3000
30-5- 1932

MARJA WERYHO

Różne przygody

POWIASTKI DLA DZIECI



I. 547.763

Składano w zecerni K. Bira Warszawa, Pawia 37.

Druk. Sikora, Warszawa



Mój kwiatek.

Walek był śmieciarzem. Co rano brał płócienny worek na plecy, żelazny pogrzebacz do ręki i obchodził podwórka. Rozgrzebywał tam śmietniki i zabierał, co się dało: szmelc, kości, szmaty, blaszanki, butelki.

Pewnego razu znalazł w jednym śmietniku wyszczerbioną doniczkę z kwiatem, listki były suche i zwiędłe, a roślinka jeszcze żyła.

Walek obejrzał kwiatek i pomyślał: Kiedy wyrzucono go na śmietnik — pewno nikomu nie jest potrzebny: zabiorę go sobie“.

Wyszedłszy za bramę, przycinał mocno do siebie doniczkę.

— Nie martw się, kwiateczku, podleczę cię, może wyzdrowiejesz — przemawia pieszczotliwie Walek — wyrzucili cię biedaku... jak ten śmieć...

Teraz zaczął się namyślać, gdzie go postawi. Swego mieszkania nie miał, spał w sionce dozorca pod schodami.

Dawniej było inaczej: mieli własny pokój na facjatce, ale teraz gdy matka poszła do szpitala, wszystko się zmieniło.

Dozorca domu ulitował się nad chłopcem, i pozwolił na noc rozkładać siennik w sionce.

— Pod schodami ciemno... zmarniałby mi kwiatek do reszty — myśli Walek — Wiem — już wiem — krzyknął uradowany... na strychu... wyborne będzie miejsce.

Pod wodociągiem obmył listki zwiędłe, poobrywał suche, doniczkę obwiązał szpaga-

tem, podlał roślinę i parę minut później doniczka wisiała w oknie na strychu.

Weselej jakoś Walkowi na duszy: ma swoją własną roślinkę byle tylko nie zmarła...

Parę razy dziennie zagląda do kwiatka, żeby się przekonać, czy mu czego nie brakuje, czy ziemia nie za sucha, czy słońce zbyt nie grzeje, czy listki nie zakurzone... jest o czem pomyśleć.

Roślince taka opieka na dobre wyszła: wyprostowała się, nowe listki puściła i wyglądała świeżo i wesoło.

— Widzisz — kwiateczku — lepiej ci jest u mnie, niż w śmietniku, mówił Walek przyglądając się roślince. Może cię kiedy na deszczyk wyniosę, to cię pokropi. Pewnego dnia przyniósł nową doniczkę, świeżą ziemię i przesadził kwiatek.

— Masz nowy domek — powiada — kupiłem u ogrodnika, bo miałem dzień szczęśliwy: zarobiłem 50 groszy.

— Chcesz wiedzieć na co wydałem?...

Obiad kosztował 20 groszy, po południu wypilem herbaty z chlebem — 5 groszy a doniczka, a ziemia... też kosztowały, zostało mi 10 groszy na chleb...

— Teraz pójdę podwórko zamieść, nie mogę tak ciągle z tobą przesiadywać.

Podlał doniczkę i na dawnym miejscu zawiesił.

II.

Straszna bieda nawiedziła ludzi: głód, nę-dza... brak roboty... każdy byle czem się oby-wał.

I Walkowi źle się działo: w śmietnikach nie mógł nic znaleźć, coby sprzedał, nieraz przez cały dzień nic nie zarobił.

I przyszedł razu pewnego taki dzień, że z głodu kamień by ugryzł,

Już odważył się poprosić przechodnia „na chleb“, ale ten surowo odpowiedział:

— Wstydzili byś się żebrać, taki duży chłopak, do roboty byś poszedł.

— Juźci, żebym poszedł—pomyślał Wa-
lek — ale gdzie ta robota?

Więcej już nie odważył się nikogo prosić. Ledwie się dowłókł do mieszkania.

— A cóż ty, Walek, jak śmierć dziś wyglądasz? — pyta żona dozorczy. — Czyś nie chory, że drżysz cały?

— Nie, nie chory — odrzekł nieśmiało chłopak.

— Weź sobie kaszy z rondelka, zastała tam z kolacji, możesz głodny?

Walek chciwie rzucił się na jedzenie i zdawało mu się, że ta kasza gdzieś w przepaść wpada.

— No jak ci tam, odeszło? — pyta kobieta.

— Odeszło — powtórzył Walek, pocałował w rękę dozorczynię, zabrał siennik i położył się na zwykłym miejscu; zwinął się w kłębek i wnet głęboko zasnął.

Nazajutrz, zaledwie oczy otworzył, pobiegł na strych.

— O mój kwiateczku, cóżeś zwiesił listki i patrzeć na mnie dziś nie chcesz? — Myślisz, żem o tobie zapomniał? Masz tu świeżej wody, napij się... Wiesz, matka mi się śniła

dziś w nocy, głaskała mnie po głowie i tak jakoś smutna była... powiada do mnie: „Synku, źle ci na świecie... ale wytrwaj, Bóg cię będzie miał w opiece“ Pójdę do szpitala może się z nią zobaczę, bo zeszłej niedzieli była w gorączce, więc nie dopuścili mnie do matuchny.

Poszedł.

W szpitalu minął salę, gdzie stał długi rząd łóżek i dotarł do Siostry Anny, Powitał zakonnice i nieśmiało zapytał o zdrowie matki:

— Moje biedne dziecko, matka twoja umarła, wczoraj ją pochowano. Masz ty jaką rodzinę? spytała Siostra.

Łzy ścisnęło gardło Walkowi, nic odpowiedzieć nie mógł. Siostra już go nie pytała o nic więcej. Zaprowadziła go do infermerji, dała mu ciepły kaftanik i kamasze, a na odchodnem wsunęła mu w kiesień kawałek bułki.

Długo błąkał się Walek po mieście, szedł zgnębiony w smutku i sam nie wiedział, kiedy się znalazł na strychu.

— Już nikogo nie mam na świecie, nikogusieńko... Tylko tyś mi został — kwiatuszk.

Jakiś piękny. Rozwinałeś swoje kwiatki...
Matuchna lubiła kwiatki...

Rozpłakał się chłopczyna.

— Niema matuli, nikt mnie nie przygar-
nie, nikt nie popieści. Gdzie ty teraz jesteś,
matuchno, może w niebie, może patrzysz na
swego synka?...

Ukląkł i modlił się za matkę długo i go-
rąco. Potem usiadł, oparł się o ścianę i za-
myślił się... o czym? Kto wie, o czym sierota
myśleć może...

III.

Szły dni jedne za drugimi, ale wi-
docznie nie były dla Walka lepsze od po-
przednich: chłopiec wychudł, wymizerniał,
zczerniał z głodu i chłodu.

I otóż pewnego dnia w ostatniej nędzy
wpadł na strych, zabrał doniczkę swoją i wy-
niósł na ulicę.

Pięknie utrzymana i cała kwieciami po-
kryta roślinka zwracała ogólną uwagę.

— Co za prześliczna prymulka — zachwycała się jakaś pani. — Czy jest do sprzedania? Ile chcesz — chłopcze, za nią?

— Dwa złote — odpowiedział ponuro Walek.

— Dobrze, chętnie zapłacę — mówi pani wyjmując pieniądze.

A Walek przyciska mocno do siebie doniczkę, a duże dwie łzy spłynęły z jego oczu na kwiatek.

— Cóż ci jest dziecko? Wszak dam ci, ile żądałeś, czy sądzisz, że za mało?

— Nie... to był mój kwiatek... chowałem... tak...

— Żal ci się z nim rozstać? no to zanieś za mną i przekonaj się, jak mu będzie dobrze u nas.

Walek nic nie mówiąc poszedł za panią.

Niedługo weszli do ładnego mieszkania.

Chłopiec postawił kwiatek na stole i odszedł. Na progu przystanął i odwrócił się, żeby po raz ostatni spojrzeć na kwiatek.

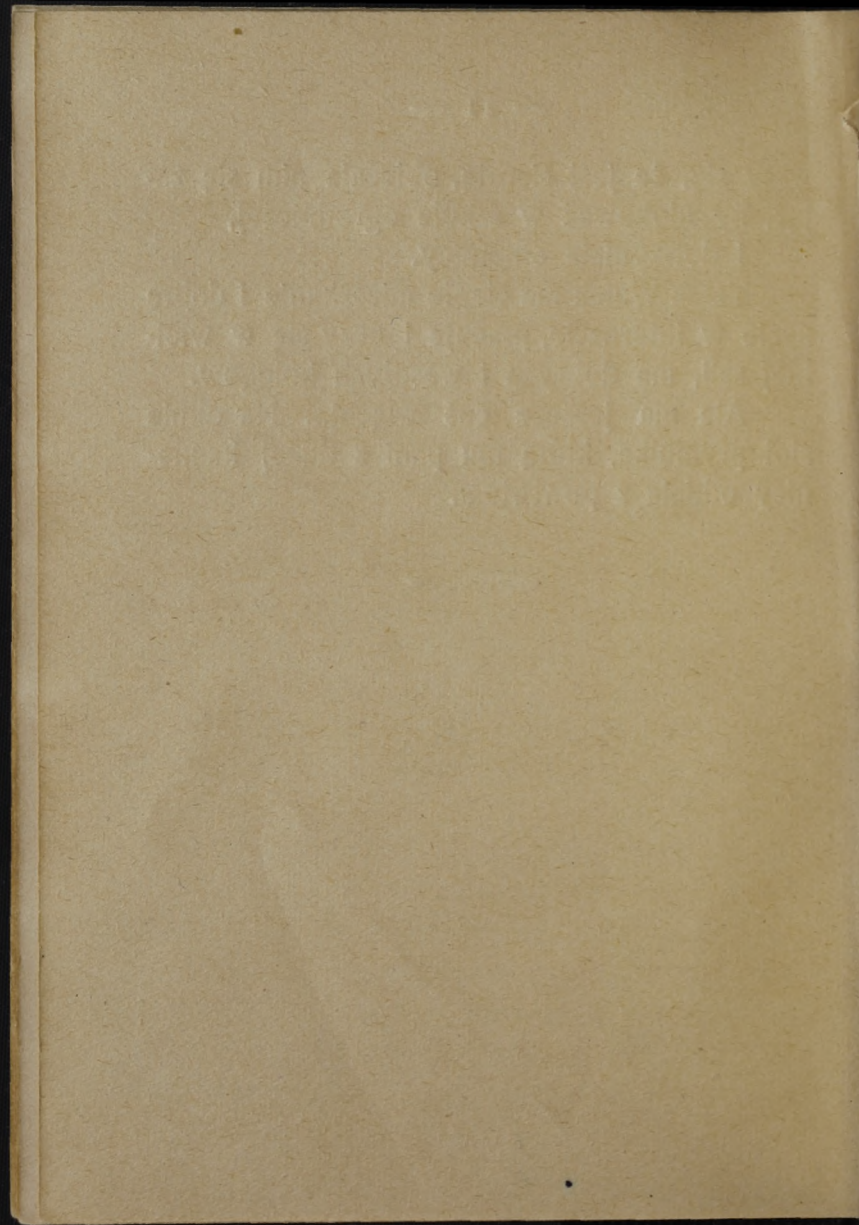
Żal się zrobiło pani małego chłopca. Zaczęła wypytywać o jego życie. A dowiedzia-

wszy się, że jest sierotą, obiecała nim się zająć, by ulokować w szkole ogrodniczej,

I dotrzymała obietnicy.

Teraz Walek ma ciepłe mieszkanie i dobre życie w internacie, pracuje i uczy się w wielkiej sali, ma dobrych i wesołych kolegów.

Ale ma jeszcze coś więcej... Na oknie stoi prymulka, którą mu pani z dużej kamienicy oddała z powrotem.



Anusia.

Anusia była małą dziewczynką. Mieszkała na przedmieściu w małym drewnianym domku.

Matka Anusi była bardzo ubogą. Od rana wychodziła na robotę i wracała dopiero nad wieczorem.

— Masz tu w garnuszku trochę kaszy, Anusiu—mówi zwykle do córki, a w butelce mleko; zjesz sobie w południe. A jeżeli będziesz głodna, to weź kawałek chleba.

— Dobrze, matucho, dobrze, odpowiedziała dziewczynka.

Po odejściu matki Anusia zabiera się do sprzątania: bierze miotłę i zamiata izbę. A miotła ciężka, ledwie udźwignąć ją może. Wymiotła śmieci ze wszystkich kątów i aż się zarumieniła ze zmeczenia.



— Teraz stój, w kącie ty grubasie, mówi do miotły, pocoś mnie tak zmęczyła?...

Potem Ania ściera kurz ze sprzętów.

Robota nie trwa długo, pokoik tylko jeden i mebli w nim nie wiele: łóżko, stół, komoda, półki i dwa krzesła.

Ania ma jeszcze kwiatki na oknie, więc je co rano podlewa, codzień wyciera listki z kurzu i bardzo się cieszy, gdy nowy listek się rozwija.

Jeżeli jest ładnie, dziewczynka wybiega na podwórko i bawi się z dziećmi sąsiadów.

I tak jej dzień cały schodził.

Wieczorem, gdy gromadnie robotnicy idą z fabryk, Anusia siadała na schodkach i czekała na matkę, bo i ona wracała o tej porze.

Ale razu jednego Janowa, tak się nazywała matka Anusi, nagle zasłała. Po powrocie z fabryki położyła się do łóżka. Nazajutrz wyszła na robotę, ale niedługo wróciła i na dobre się rozchorowała.

— Co wam, matulu, pyta cichutko Anusia, całując ją w rękę.

A ręka gorąca była, jak w ogniu.

— Oj źle, córeńko, źle ze mną! — jęknęła Janowa i pocałowała Anusię w głowę. Pobiegnij do Adamowej, naszej sąsiadki, poproś, żeby przyszła... może coś poradzi.

Anusia zarzuciła chustkę na głowę i poszła.

— Dobrze, dobrze zaraz przybiegnę; sama nawet przyjść chciałam, tylko dziecka nie mam z kim zostawić, wszyscy powychodzili, mówi kobieta.

— Ja zostanę przy małym, powiada Anusia, nic mu nie będzie, zabawię go, ponoszę...

— No, to już idę.

Do wieczora Adamowa siedzi przy chorej, a potem poprosiła drugiej kobiety, by przez noc pilnowała Janową.

W nocy chora była bardzo niespokojna, majaczyła i co chwila zrywała się z łóżka.

Bardzo wczesnie Anusia znowu pobiegła do sąsiadki, znów pilnowała jej synka, a Adamowa siedziała przy matce.

Dopiero na południe wróciła, a za nią weszły dwie inne kobiety.

— Jak tam z Janową? pytają.

— O, źle, bardzo źle, gorączkuje, nikt go nie poznaje, pewno długo nie pociągnie, żal dziecka... sierotę zostanie... Bo to i ojca niedawno straciła...

Anusia słucha i nie chce wierzyć, że to o jej matce mówią... Jej matka może umrzeć... Podnosi głowę, otwiera szeroko oczy, patrzy to na Adamową, to na inne kobiety jakby nie rozumiała, co mówią.

— Gdzie to biedactwo złapało chorobę taką? mówi druga kobieta.

Ale Anusia już nie słucha, do matki biegnie co sił starczy.

A ona leży w gorączce, oczy ma przymknięte i od czasu do czasu słabo zawołała: pić...

Siedzi przy niej jakaś starsza kobieta.

W tej chwili przyszła Anusi myśl: „Pójdę do figury Pana Jezusa, pomodłę się i poproszę, żeby mi matuchnę uzdrowił“.

Nie idzie, ale biegnie dziewczyna, tak jej się wydaje daleka droga do krzyża. Zerwała kilka kwiatków, położyła przy figurze, potem uklęka.



— Jezu przenaświęty! zawołała.

Nie może mówić, coś ją w gardle ściska, rozplakała się... Cały fartuszek łzami zmoczyła. Szlochając zmówiła pacierz, jak nmie, ale wydał się jej za krótki.

— Czemuż więcej nie umiem modlitw.

Tak krótko prosiłam Pana Jezusa, może nie wysłucha!.. A może dlatego matula choruje, że nie zawsze byłam grzeczną, rozmyśla dziewczynka. Raz ukrajałam sobie drugi kawałek chleba, a matula pozwoliła ryłko jeden... To znowu nowy fartuszek o gwóźdz rozdarłam, bardzo się matusia gniewała... Raz talerz stłukłam i to był wielki grzech... A to mleko, co rozlałam...

I znowu biedactwo łzami się zalała.

— Jezu, mój Jezu, uczyni, żeby się to odmieniło. Już nigdy nie będę mej matuli martwić: nigdy nie będę drzeć fartuszków, tłuc talerzy, tylko mi uzdrów matkę, uzdrów...

Wstała dziewczynka, podniosła główkę, patrzy na figurę. A Chrystus przechylił głowę i jakby bolał nad nieszczęściem dziewczynki.

— Możebym zaśpiewała?... Może Pan Jezus prędzej usłyszcy. O, gdybym umiała te pieśni święte, co w kościele świewają... Pamiętam, ale nie całą... U drzwi Twoich stoję Panie, czekam na Twe zmiłowanie...

— Jezusie kochany, uzdrów matuchnę,

niech nie gorączkuje, niech ją głowa nie boli, niech nie jęczy, uzdrów Jezuniu...

Od figury ścieżyną szedł jakiś mężczyzna. Ujrawszy spłakaną dziewczynkę zatrzymał się, nasłuchiwał, a potem zbliżył się do niej.

— Zaprowadź mię, moje dziecko, do matki, może coś poradzę, powiedział przybyły pan, a przemawiał tak łagodnie, tak serdecznie, iż zdawało się dziewczynce, że już od dawna się znają; ośmieliła się wkrótce, fartuszkim otarła ostatnią łezkę i pobiegła na przód wskazując najbliższą drogę do domu.

Okazało się, że ów pan był lekarzem. Przyjechał z miasta wezwany do chorego. Wszedłszy do mieszkania, obejrzał, opukał Janową i nic nie mówiąc wyszedł. Za chwilę wrócił i przyniósł ze sobą kilka flaszek z lekarstwem. Wytłomaczył kobiecie, która przy chorej siedziała, jak ma ją pielęgnować i obiecał znów przyjechać za parę dni.

Anusia nie odstępowała od matki i jak mogła obsługiwała chorą wraz z kobietami, które kolejno dyżurowały przy Janowej.

Chciałoby się nieraz zapytać lekarza, czy matka jest lepiej, ale nie śmiała.

Dopiero pewnego dnia doktor uśmiechnięty, zbliża się do Anusi, głaszcze ją po główce i mówi:

— No, Anusiu, już niezadługo będziesz mogła opowiedzieć swojej matuli, jakośmy się poznali. Za jaki tydzień matka wstanie.

Po wyjściu lekarza dziewczynka zbliżyła się do łóżka i całując ręce matki mówiła ci-chutko.

— O, moja złota mateńko, moja serdeczna, będziesz wkrótce zdrowa, będziesz, napewno.

Słowa doktora się sprawdziły.

Po tygodniu Anusia już nie sama, ale z matką była przy figurze Chrystusa i razem z nią zasyłała dziękczynną modlitwę za uzdrowienie chorej.

N i e m o w a.

Władzio miał czarną czapkę z białą obwódką i czarne palto z metalowemi guzikami—taki był jego mundurek.

Ile razy ukazał się w parku, chłopcy wołali na niego: „niemowa“, „niemowa“.

Władek rzeczywiście był niemdwą. Chodził do Instytutu Głuchoniemych, gdzie pobierał nauki.

Roztropny, żywy i wesoły radził sobie doskonale, w szkole uczył się bardzo dobrze, a porozumiewał się przy pomocy znako-liter, które sobie układał z palców.

Właśnie były wakacje, i Władek większą część dnia spędzał w parku.

Zbierało się tu dużo chłopców dla wspólnej zabawy: urządzali gonitwy, wyścigi, ba.

wili się w „jaworowych ludzi“, „dzień i noc“ i w inne gry.

Włodek stanął przy jednej takiej gromadce i przyglądał się rozbawionym chłopcom. Miał wielką ochotę pobawić się z nimi, lecz dzieci, dostrzegłszy niemowę, zaczęły go obzierać przezwiskami:

— Patrzcie, niemowa. — wołał jeden.

— Wynoś się, zawalidrogo...

Włodek nie słyszał wymyślań. Stał spokojnie, uśmiechał się do nich od czasu do czasu i coraz bardziej zbliżał się do rozbawionych dzieci.

— Idź precz... idjoto... jeszcze się śmieje— krzyknął ktoś z gromady, zwracając się do niemowy.

Tym razem Włodekowi zdawało się, że go chłopcy zapraszają do zabawy i podszedł do nich parę kroków bliżej.

Ale, gdy chłopcy zaczęli przedrzeźniać mowę głuchoniemych, układając w różne sposoby palce, gdy zaczęli język mu pokazywać, pięściami wygrażać, zrozumiał, że go wyśmie-

wają. Zarumienił się, łzami zasłży mu oczy— stał jak wryty.

— Chłopcy, co tu mamy z głuchoniemym rozmawiać, przewrócić go na ziemię—krzyknął rudy Kazik.

— Dajmy mu dziesięć batów, to lepiej zrozumie — dorzucił drugi chłopak.

— Za język przydałoby się pociągnąć— może przemówi — wyśmiewał się jeszcze któryś.

Nie namyślając się długo kilku chłopców rzuciło się na Władka aby go obalić.

Ale Władek był bardzo mocny i zręczny: szarpnął raz i drugi — dwóch chłopców powalił na ziemię, trzeciego pchnął tak, że ten odskoczył jak piłka.

Zmięszali się chłopcy; nie spodziewali się takiego końca.

— Siłacz — powiada jeden, tak mnie kopnął, mało mi kości nie połamał.

— Poco z nim zaczynałesz?—pyta któryś.

— I ty też — zaczęli się kłócić.

Tymczasem Władka już dawno wśród nich nie było.

Szedł przed siebie — mocno wzruszony i zatrzymał się dopiero przy końcu parku. Usiadł na kamieniu, twarz zakrył rękami i gorzko zapłakał...—Dlaczego jestem inny, niż wszyscy?... Dlaczego nie chcą się bawić ze mną, jak z innymi dziećmi?... Dlaczego tak mnie wyśmiewają?... Cóż że niemowa... Potrafiłbym wszystko to samo zrobić co i oni. Szcząją mnie jak tego psa... i zaco?... czy im co złego robię?... tylko to, że mówić nie mogę. Czy to moja wina?...

Długo tak siedział Władek w odosobnieniu. Słońce właśnie zachodziło. Z polanki dolatywał miły zapach kwiecia. Delikatnie szemrały listki na drzewach...

I ta cisza i to piękno dokoła tak ukoili biednego chłopca — że zupełnie się uspokoił i nabrał znowu otuchy.

— ...Niemowa... więc cóż?... mogę pracować, czytać... mogę się czegoś nauczyć... może jeszcze będę lepszym robotnikiem od tych łobuzów... mówił dó siebie Władek i z pogodną twarzą wrócił do domu, jakby go nic przykrego nie spotkało.

II

Minęło wiele lat. Dużo się od tego czasu zmieniło. Nad ojczyzną Władka zawisła wielka nawałnica — nieprzyjaciel usiłował wtargnąć do kraju.

Zabiło serce każdego Polaka: Ojczyzna wzywała pod broń.

Zaciągali się do wolska starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety. Władek niemowa był czeladnikiem stolarskim. I on też stanął w biurze werbunkowem. A że mówić nie mógł napisał kartkę i podał ją urzędnikowi.

— Jestem głuchoniemy, mam jednak dużo siły i odwagi, łatwo zrozumieć rozkazy — chciałbym bronić ojczyzny.

Urzędnik przyjrzał się Władkowi: rosły, silny, zgrabny chłopak — może być dobrym sanitarjuszem — pomyślał. Za parę dni odjeżdża pociąg sanitarny, mogę przyjąć jeszcze jednego posługacza do przenoszenia chorych.

Władek nie posiada się z radości — jedzie na front, jedzie z czołówką — pociąg taki stoi najbliżej frontu — a on będzie przenośli rannych z pola bitwy.

Przygotowania trwały krótko. Trzeciego dnia już był na stanowisku.

Trudno opisać uczucie, jakiego doznał, gdy po raz pierwszy znalazł się wśród rannych — ile krwi, kalectw i cierpień widział.

Opanował wkrótce swoje wzruszenie i rzucił się z zapalem do przenoszenia i pielęgnowania żołnierzy.

Nie znał niebezpieczeństwa: pod gradem kul podnosił żołnierzy, często, nie czekając nawet na nosze, brał rannego na ręce i zanosił do pociągu sanitarnego.

— Warjat... mówili o nim koiedzy, sam niedługo kulą w łeb dostanie... jaki to śmiałek...

Ale Władek nie zważał — dumny był, że dzięki sile i wzrostowi radzi sobie sam bez niczyjej pomocy.

W czasie spokojnym pielęgnował chorych — wszystkie posługi przy nich wykonywał. Nikt tak zręcznie nie przeniósł chorego, jak Władek, nie przewrócił na drugi bok, tak dobrze opatrunku nie zmienił.

Ileż to nocy bezsennych spędził przy chorych. On by duszę wlał w każdego cier-

piącego, krwi swojej utoczył, byle mu ulgę przynieść.

Choć niemowa umiał z ust wyczytać, a przy pomocy gestów i wyrazu twarzy tak potrafił pocieszyć, że chory doskonale go rozumiał. Cenili bardzo tak summiennego pracownika lekarze, ale najbardziej — chorzy, bo widzieli w nim swego opiekuna i przyjaciela.

Wkrótce zaszedł wypadek, dzięki któremu Władek mógł jeszcze bardziej wykazać swoje poświęcenie dla cierpiących.

Niosł razu jednego bardzo ciężko rannego. Wtem kula trafiła mu w nogę. Nie mógł iść dalej. Nie chciał jednak zostawić rannego żołnierza wziął go na plecy, pełznął na czworakach, wlokąc swoją nogę, broczącą krwią. Dostał się do placówki, ale z bólu i wielkiego wysiłku padł bez czucia.

III

Ciężkie dni przeżywał Władek: leżał w szpitalu razem z innymi rannymi, noga mu dokuczwała coraz bardziej, przyplątała się go-



rączka, majaczył... Zdawało mu się, że jest na polu bitwy, że nie może udźwignąć chorego. Ciągle się zrywał. Siostra miłosierdzia zbliżyła się do łóżka, uspakaja, kładzie dłoń na giowie, podaje lekarstwo.

Patrzy na nią Władek i nie rozumie, gdzie przebywa, jak się tu dostał. Dlaczego ta pani jest przy nim?

Odjęto mu nogę. Zniósł operację cierpliwie i mężnie.

Kiedy tak leżał osłabiony, posługacz podaje mu małą książeczkę zatytułowaną „Nasi bohaterowie“. Na okładce były napisane te słowa: „Władysławowi Puhale — najlepszemu przyjacielowi ofiaruje autor“.

Zdumiony Władek zaczyna przeglądać książeczkę — oczom nie wierzy... Autor opisuje jego pracę w czołówce i tak kończy: „Trudno policzyć ile razy narażał własne życie sanitariusz Puhale — a ile setek ludzi dzięki jego opiece wróciło do zdrowia. To jest prawdziwy bohater naszej doby“.

— „Ja miałbym być bohaterem... ja, niemowa i kaleka... i oczy mu zasły łzami ze wzruszenia.

— No, cóż nasz bohater taki markotny? pyta lekarz, zbliżając się do Władka i klepiąc go po ramieniu,

Chory zawstydził się z swego wzrusze-

nia, łyzy prędko otarł i uprzejmie uśmiechnął się do lekarza.

Pracowali przez dłuższy czas w czołówce. Lekarz, człowiek starszy, bardzo cenił i lubił swego sanitariusza.

— Nie martw się chłopcze, rana się niedługo zagoi, zrobimy ci sztuczną nogę, a taką porządną, że nawet w kostce zginać się będzie, w ładny but ją obujemy — nikt nie domyśli się, że masz sztuczną nogę. Władek wpatruje się w usta doktora, łapie każdy wyraz, ściska mu rękę i uśmiecha się.

— Tak, tak mój bohaterze, wszystko będzie dobrze. A wiesz, kto tę książeczkę o tobie napisał? Ów szeregowiec, któregoś przydzwidał „na barana“. To był literat — on cię sprawiedliwie ocenił.

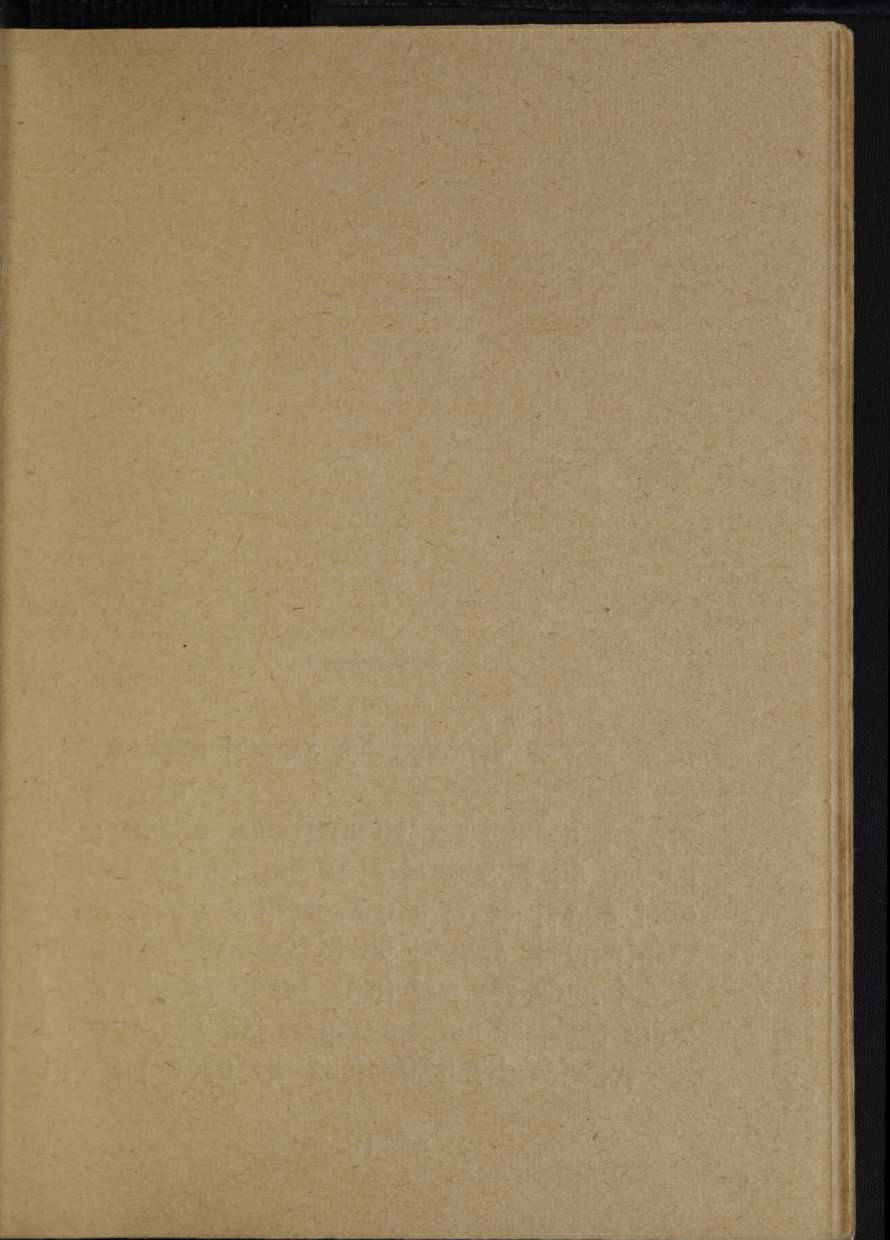
Minęło pół roku.

Po sali przechadza się młody żołnierz o sztucznej nodze. Coraz lepiej mu idzie. To Władek spędza ostatnie dni w szpitalu. Wróciły mu dawne siły, dawny humor i chęć do pracy. Jest szczęśliwy. Zawierucha wojenna już minęła. Otrzymał mnóstwo listów i odwie-

dzin od różnych znajomych i przyjaciół — a każdy rad był serdecznie mu uścisnąć dłoń.

O przyszły los swój jest też spokojny— ma kilka propozycyj na posady sanitariusza w szpitalach wojskowych a także dawny jego majster serdecznie go zaprasza, żeby wrócił do dawnego warsztatu na warunkach bardzo dogodnych.

Władek jeszcze się namyśla. —



P r e m j u m.

Nikt nie mógł się domyśleć, w jaki sposób dozorca domu mógł wyhodować tyle kwiatów; było ich pełno na oknach, na półkach, nade drzwiami, nawet ganek był obstawiony doniczkami pięknych rozłożystych kwiatów.

A z kwiatami tak było.

Pierwszą doniczkę Pela—córka dozorca—dostała w Towarzystwie Ogrodniczym w dzień rozdawnictwa kwiatów. Oprócz doniczki otrzymała także obrazek — z jednej strony była namalowana polargonja, a z drugiej przepis, w jaki sposób hodować kwiatek, jak przesadzać i jak flancować.

Pela pielęgnowała roślinkę przez cały rok. Na wiosnę ucięła z niej parę gałązek i zasadziła — w lecie miała już pięć doniczek

pelargonij, które ładnie rozwinęły się i zakwitły. Na jesieni znów zasadziła kilka doniczek. A gdy w lecie wszystkie zakwitły — mieszkanie wyglądało, jak mały ogródek.

— Jak to ślicznie u was Marcinowo, powiada lokatorka z pierwszego piętra.

— Co to ślicznego, proszę pani, w tej ciasnocie: stół, łóżko, i parę krzeseł, cały nasz dobytek, odpowiada żona dozorczy.

— Ależ to pięścidełko wasz pokoik — całe ściany kwiatów, jaki przeschliczny kolor tych peloragonij, zachwycała się pani, przyglądając się kwiatom.

— Że też pani ma czas koło kwiatów chodzić, tyle ich jest w mieszkaniu — pyta innym razem sklepikarza.

— A ktożby tam zajmował się kwiatami przy mojej robocie od rana do nocy — to Pela, córka hoduje i opiekuje się niemi.

I ktokolwiek zajrzy do stróżówki każdy podziwia piękne kwiaty dozorczy.

A Pela jest w kłopotcie: nie mieszczą się już doniczki w pokoiku.

— Wiem, co zrobię — pomyślała dziewczynka i prędko zabrała się do pracy.

Pookręcała drutem doniczki, powbijając gwoździ dokoła drzwi wchodowych i pozawieszając kwiatki.

Ładnie to wyglądało, ale jeszcze pozostało kilka doniczek.

Przybiła deseczkę nade drzwiami i postawiała na niej pnące się palargonje, których kwiaty zwieszały się na dół i całkiem przykrywały doniczkę.

Taką samą półkę zawiesiła nad zewnętrzną stroną okna i też zastawiła doniczkami.

Niedługo tak się kwiaty rozwinęły, że wyglądały zdaleka, jak duże bukiety czerwone.

Dozorca Marcin co wiecaor czytał na głos gazety, a Pela siadywała przy nim i przysłuchiwała się.

„Towarzystwo Ogrodnicze wyznacza premjum za najlepsze przyozdobienie balkonu.“

— Tato, co znaczy premjum — pyta Pela.

— Ano — to znaczy nagrodę dostanie

ten, kto najładniej przyozdobi swój balkon kwiatami.

— Szkoda, że nie mamy balkonu, westchnęła dziewczynka.

— Widzicie, czego jej się zachciewa — powiada ojciec i serdecznie pocałował córkę.

Pela jest niezmiernie ciekawa, w jaki sposób będą przybierać balkony. Idąc do szkoły, bacznie przyglądała się wszystkim kamienicom.

I w ich domu wystawiono kwiaty na balkonach, kilku lokatorów widocznie ubiega się o nagrodę. Balkony wprost uginały się pod doniczkami kwiatów.

— Ciekawam, który balkon będzie się najbardziej podobał sędziom. Gdybym miała swój balkon — to tym zupełnie inaczej go ubrała, myśli Peli.

Nareszcie nadszedł dzień rozstrzygnięcia konkursu. Kilku panów obchodziło miasto i oceniało ozdoby balkonów. Przyszli także na podwórko Peli. Obejrżeli balkony, pokiwali głowami, zatrzymali się chwilę przed ukwie-

conem mieszkaniem dozorczy, coś zapisali i poszli.

Nazajutrz wszyscy z ciekawością zaglą-
dają do gazet, by się dowiedzieć, kto jest
tym szczęśliwcem, który dostanie nagrodę.

Woźny z pierwszego piętra, stojąc w
bramie, czyta na głos, a przy nim zebrała się
gromadka ludzi, żeby wysłuchać, co piszą w
gazetach.

„Z pomiędzy przystrojonych balkonów
uwagę naszą zwrócił jeden — właściciel mie-
szkania p. Z. i temu przyznaliśmy 1-szą na-
godę. Druga nagroda dostanie dozorca ka-
mienicy Marcin K. Jakkolwiek niema balko-
nu — tylko ganek, ale drzwi i zewnętrzna ściana
domu są tak gustownie przyozdobione palar-
gonjami, pięknie utrzymanymi, że skromne
mieszkanie dozorczy wygląda, jak malownicza
altanka.

Podobno kwieciarką tą jest mała dziew-
czynka, córka dozorczy.

Po nagrodę należy zgłosić się pomiędzy go-
dziną 4-ą a 5-ą do Towarzystwa Ogrodni-
czego.“



Niedługo wiadomość ta rozeszła się po sąsiednich kamiennicach.

Tego dnia, wracając ze szkoły, Pela zauważyła, że kilka osób ogląda ich stróżówkę. Zdziwiona, wpada do domu i dowiaduje się jakie ją szczęście spotkało.

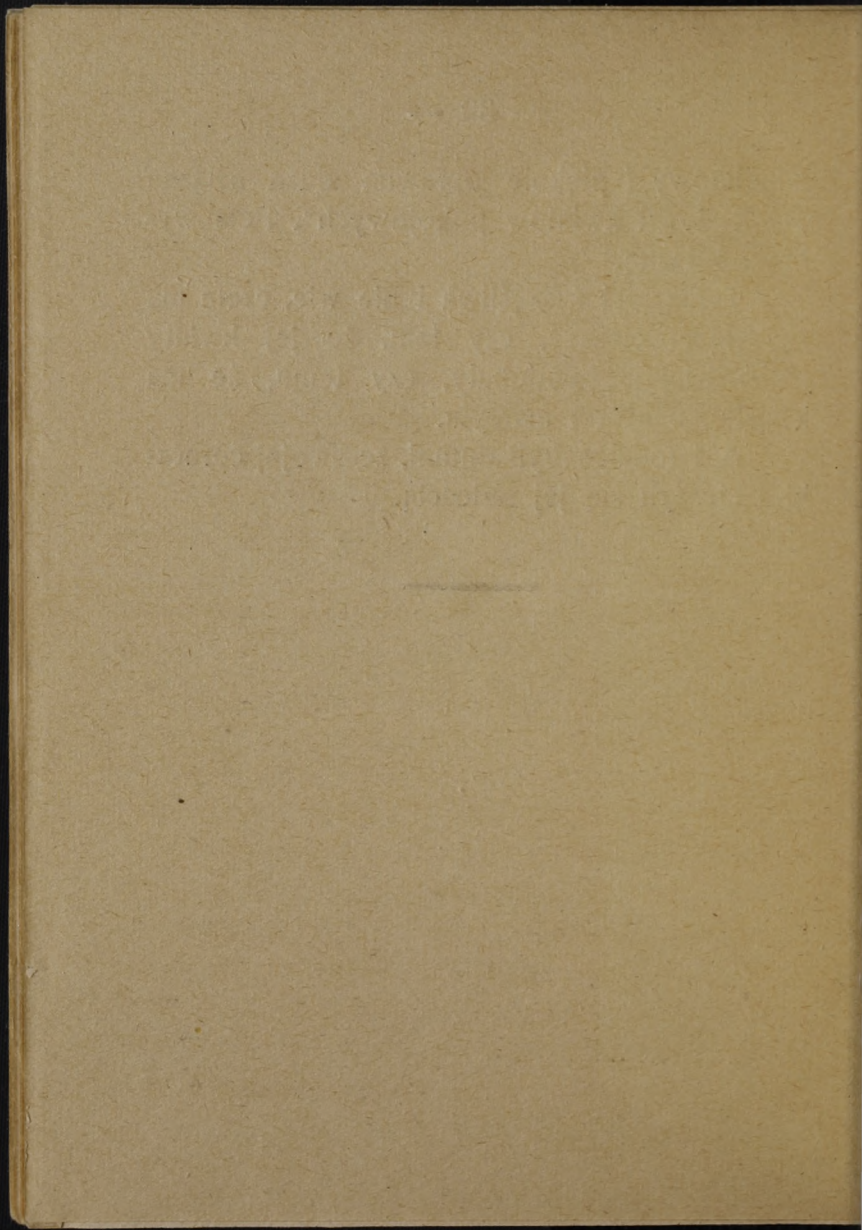
— No i coż dziwnego, że sąsiedzi chcą przyjrzeć się, za co otrzymałaś nagrodę—mówi zadowolony dozorca.

Nagrody były dwie do wyboru: wazon

majolikowy i pięknie oprawna duża książka „O hodowli kwiatów pokojowych“. Pella wybrała książkę.

Teraz jest szczęśliwa i nie wie, czem ma się więcej cieszyć, czy tem, że jej kwiaty najbardziej się podobały, czy temu, że ma książkę, o której marzyła.

A i rodzice byli dumni, że swojej córeczki i cieszyli się jej radością.



Nietoperze.

Pi... i..i! zapiszczał mały nietoperz.

— Śpij, synku, odpowie matka, jeszcze słońko wysoko.

Młody nietoperz, nie otwierając oczu, obrócił się na drugi bok, objął matkę mocno za szyję i tak zawieszony znowu zasnął.

— Tru-ru-ru! tru-ru!...

To Maciek wygrywa, widać wraca już z pola. Wkrótce zaczęły ryczeć krowy, jedna za drugą; beczą również kozy i owce.

Z wielkim turkotem wjechał wóz na podwórko. To Wawrzyniec z pola wraca i z biczem trzaska, oznajmiając swój powrót.

Wkońcu wszystko się uciszyło: gospodynie pogasiły ogień na kominie, zaryglowały drzwi, tylko Burek biega po podwórku i szczeka.

— Wstawaj mały, wstawaj!... Budzi matka młodego nietoperza, już czas!... No — cóżeś się tak rozespał?

Synek oczki przeciera, wyciąga się.

— A co? dlaczego mam wstawać?

— Dlaczego? bo już noc nastąpiła, czas na łowy; noce w lecie są krótkie, nie zdążymy nic upolować.

To mówiąc, nietoperz odbił się tylnymi nogami o ścianę, skrzydła rozpostarł i poleciał. Mały uczepiony do piersi, leciał z nim razem. Szybują nietoperze to w górę, to na dół się spuszczaają i dostały się do ogrodu.

Nad jabłonią unosi się rój chrabąszczy; brzęczą... z daleka słychać.

Właśnie w tą stronę skierował się nietoperz i kilkanaście chrabąszczy spożył na pierwsze śniadanie.

Teraz znów leci nad staw, stąd — na podwórko i zatrzymał się w ogrodzie warzywnym.

— Co to fruwa? Jakież płatki białe? — pyta młody nietoperz.

— Ćmy, odpowie matka, najlepszy przysmak. Sprobój!

Mały wziął do pyszczka i skrzywił się.

— Za twarde — odpowiada.

— No to czekaj, muchami ciebie nakarmię. Co prawda, śpią one jeszcze, ale może się która trafi...

W tem zabręczała duża mucha. Nietoperz zaczyna ją gonić i wpada przez otwarte okno do sypialnego pokoju.

Trzepotanie skrzydeł zbudziło mieszkańców. Pozrywali się z łóżka, zaczynają gonić nietoperza — jeden ze szczotką od podłogi, drugi z kijem, trzeci z parasolem...

Nietoperz ze strachu głowę stracił, zapomniał, któredy wpadł, gdzie było okno i o mało życiem nie przypłacił.

Dopiero oprzytomniał, gdy się wkońcu znalazł na swoim strychu.

— Mamo, pyta mały nietoperz, czemu nas tak gonili i uderzali?

— Zapewne chcieli nas zabić ci ludzie, moje dziecko.

— Dlaczego? Czyby żalowali nam much,

czy może tych chrabąszczy, co na drzewach siedzą?

— Nie synku, tępiąc owady szkodliwe, tylko przysługę im wyświadczamy.

— Dlaczego z nami tak źle z nami się obeszli?

— Czy ja wiem, dlaczego, zapewne nie podobamy się im, czynią to pewnie bezmyślnie.

— To ludzie są niesprawiedliwi, mamó?

— Prawda, synku, gdy dorośniesz, poznasz ich bliżej, a teraz zaśnij spokojnie, dopóki jesteś przy matce.

II.

Minął miesiąc, potem drugi. Mały nieto- przez ten czas urósł i utył. A że był jedynakiem u matki, więc miał wszelkie wygody. Nieraz, dźwigając go, matka upadała wprost ze zmęczenia, bo ciężki już był, ale nietoperz nie chciał latać o własnych siłach.

Wiedziała jednak matka, że zbyteczne rozpieszczenie dziecka na dobre nie wyjdzie, więc postanowiła przemówić mu do rozsądku.

— Mój synku, powiada, już wielki czas, żebyśmy się rozstali. Poznałeś już dobrze zwyczaje i obyczaje nietoperzy, nic złego nie może ci się przytrafić, trzeba tylko być ostrożnym i uważnym...

Nietoperz upewniał matkę, że jeszcze nie da sobie rady, że mu będzie tęskno samemu; ale widząc, że matka trwa stale przy swoim zdaniu — musiał pogodzić się z losem. Pomsutniał.

— Czy już nigdy nie będziemy się widywali? pyta. I mieszkać nie będziemy razem?

— Dlaczego? Możesz przebywać na tym samym strychu. Będzie i dla ciebie dosyć miejsca. A kiedy wrócisz z nocnej wyprawy opowiesz mi zawsze swoje przygody.

Odtąd nietoperze widywały się tylko nad ranem, ale wracały zawsze tak zmęczone, że nie miały ochoty na rozmowę, tylko uczeptały się belki i zasypiały.

Razu pewnego stary nietoperz wrócił dość późno na strych i nie zastał syna.

— Co to być może, myśli niespokojny,

czy mu się nie przytrafiło jakie nieszczęście... może sowa porwała... Gdzie go szukać...

Przez dzień cały biedny nietoperz nie mógł oka zmrużyć, będąc niespokojny o los swego dziecka.

Doczekał się nareszcie wieczora i wyleciał pośpiesznie na poszukiwanie. Mijając podwórze, usłyszał jakiś szelest i szamotanie. Coś go tknęło, że może młody nietoperz ukrył się w stosie desek. I nie pomylił się.

Maleństwo wolno posuwało się, czepiając się o ziemię wystającym pazurkiem nóg przednich.

— Dziecko nieszczęśliwe, dopełnij do parkanu... wdrapiesz się po deskach i dopiero stamtąd polecieć zdołasz... z ziemi nigdy się nie podniesiesz.

Widok matki dodał mu sił i niedługo leciały razem nad ogrodem, opowiadając swoje przygody.

— Wczoraj wyleciałem wcześniej niż zwykle, sądząc, że przy świetle lepiej dojrzę owady. Co prawda, źle zrobiłem, przekonałem się, że błonka moich skrzydeł lepiej wyczuwa

owady, niż je dojrzą moje oczy. Spostrzegam zdaleka coś białego—duża ćma... myślę sobie.

Lecę na nią, spadam... czuje coś twardego podemną.

Okazało się, że to była biała chustka na głowie dziewczyny. No, ale cóż tam wielkiego! Zarazbym odleciał. Ale dziewczyna zaczęła krzyżeć, porywa mię i ciska o ziemię.

— Nieszczęście!... to wszystko, co może być najgorszego! I z ziemi naturalnie nie możemy się podnieść...

— Nie mogłem. Chodzić po ziemi też nie jest łatwo, a przytem bałem się, żeby mię kto nie dojrzał... przesiedziałem cały ten czas pod deskami. No i czemu ta dziewczyna tak mnie się przelękała, przecież nie byłbym jej ugryzł?

— Bo nie zna nas dobrze, a może nas kto obmówił, więc się bała.

— Ona też była niesprawiedliwa, powiada młody nietoperz.

— Trudna rada, moje dziecko, trzeba robić swoje i unikać ludzi.

Mamo, sądzę, że ludzie są gorsi od

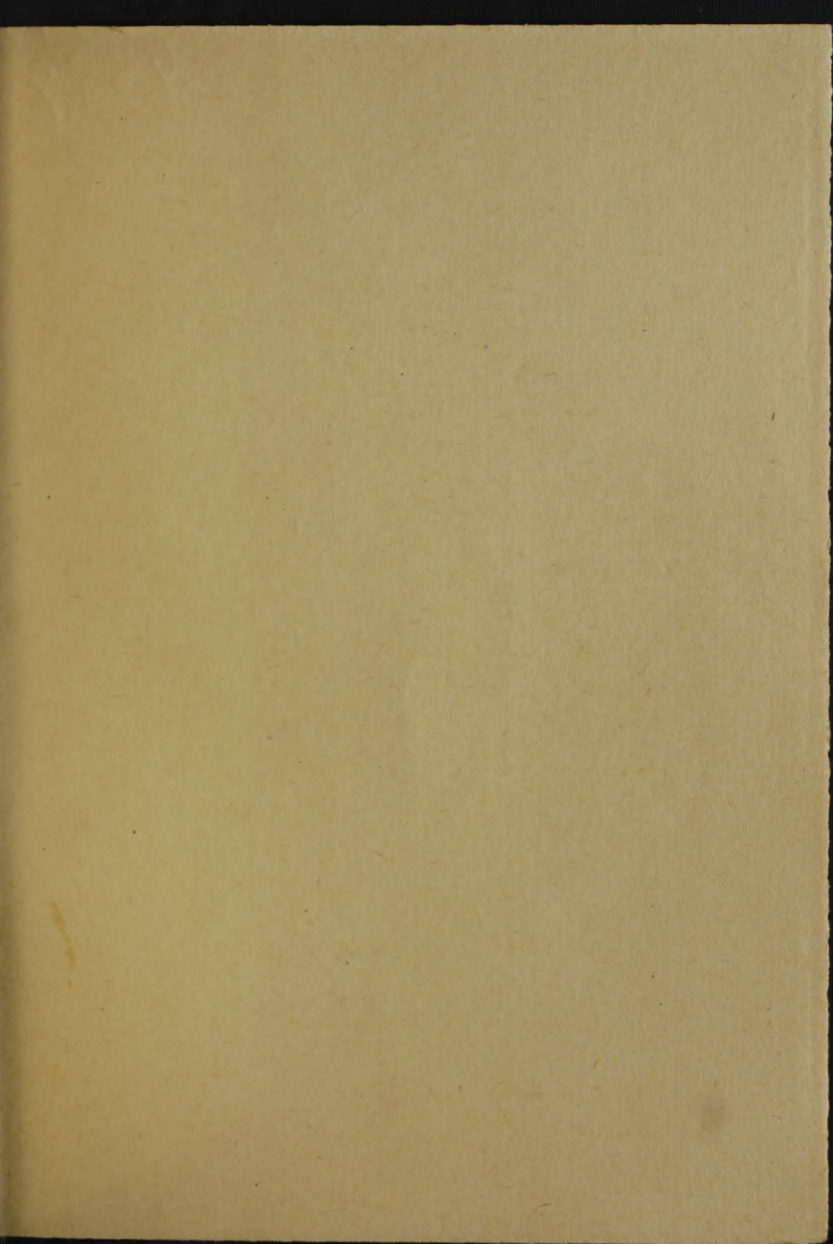
wszystkich naszych nieprzyjaciół. Sowa, pies, kot — prześladują i chwytają nas z głodu, chcąc się naszym mięsem pożywić, ale ludzie tępią nas -- bez powodu. Nie chciałbym zostać człowiekiem.

— No, mały, dosyć już tego, już późna godzina. Jest to nasz ostatni spacer. Posil się dobrze, zjedz więcej, niż zwykle, bo jesień za pasem. Niedługo zaśniemy na całą zimę.

Po powrocie do domu nietoperze obrały miejsce w głębokim kącie strychu, zaczęły się tylnymi nogami o starą belkę i z głową na dół spuszczoną, zasnęły tym razem snem mocnym, aż do przyszłej wiosny.



4389/32



4389

7 CZER 1932